

Brat Albert – w twarzach nędzarzy i bezdomnych widział oblicze Chrystusa

Niebezpieczny głód wdziera się dziś w polską kulturę, w systemy wychowania i komunikacji, wskutek czego – niemal bezboleśnie – zatracamy własną tożsamość kulturową i ludzką godność. Aby to przezwyciężyć, konieczny jest oddolny solidaryzm społeczny, a więc taka dobroczynność, która rodzi się poza instytucjami, jest spontaniczna i wyczulona na to, co w danym momencie się dzieje, na tego, kto naprawdę potrzebuje pomocy – mówił abp Stanisław Gądecki 10 czerwca 2017 roku podczas mszy świętej w krakowskich Łągielnikach sprawowanej w ramach centralnych obchodów 100-lecia śmierci Brata Alberta Chmielowskiego, który poświęcił swoje życie służbie ubogim i odrzuconym.

Dzisiejsza Msza św. w sanktuarium Jana Pawła II na Białych Morzach jest centralnym punktem obchodów stulecia śmierci Brata Alberta Chmielowskiego. Oprócz księdza kardynała, arcybiskupów i biskupów biorą w niej udział kapłani albertynki i albertyni, przedstawiciele władz rządowych i samorządowych, artyści i ludzie ubodzy, uczniowie i nauczyciele szkół a także towarzystwa pomocy, fundacje i parafie, którym patronuje św. Brat Albert. Wszyscy oni wołają w duchu jednym głosem:

„Wychwalajmy mężów sławnych
i ojców naszych według następstwa ich pochodzenia.
Wszyscy ci przez pokolenia byli wychwalani
i stali się dumą swych czasów.
Ciała ich w pokoju pogrzebano,
a imię ich żyje w pokoleniach.
Narody opowiadają ich mądrość,
a zgromadzenie głosi chwałę”
(Syr 44,1.7.14.-15).

Służba sztuce

Doprawdy, koniecznie trzeba głosić chwałę tego, który był „najpiękniejszym człowiekiem swojego pokolenia”, dla dobra człowieka, społeczeństwa i Kościoła.

Człowiek ten urodził się dnia 20 sierpnia 1845 r. w Igołomii pod Krakowem. Pochodził ze zubożałej rodziny ziemiańskiej. Kiedy miał 8 lat umarł jego ojciec, sześć lat później zmarła jego matka. Chłopiec kształcił się w szkole kadetów w Petersburgu, następnie w gimnazjum w Warszawie, a – w latach 1861-1863 – studiował w Instytucie Rolniczo-Leśnym w Puławach. Razem z młodzieżą tej szkoły wziął udział w Powstaniu Styczniowym, został ciężko ranny w bitwie pod Bełchowem i dostał się do niewoli rosyjskiej. Miał 18 lat, gdy – w prymitywnych warunkach szpitala polowego, bez środków znieczulających – amputowano mu lewą nogę. „Strach pomyśleć, gdzieżbym się obecnie znajdował, gdyby nie nieskończone miłosierdzie Boże!” – sam o sobie powiedział.

Przez pewien czas przebywał w więzieniu w Ołomuńcu, skąd został zwolniony dzięki interwencji rodziny. Aby uniknąć represji władz carskich, wyjechał do Paryża, gdzie rozpoczął studia malarskie. Następnie przeniósł się do Belgii, gdzie z kolei studiował inżynierię w Gandawie, lecz wkrótce powrócił do malarstwa i ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Monachium, wyprzedzając polskie malarstwo o przeszło pół wieku.

Stanisław Witkiewicz pisał o nim: w Monachium „znajdował się człowiek, który na całą prawie grupę wywierał wpływ szczególny, którego umysł głęboki i logiczny wcześniej niż czyjkolwiek bądź do najśluszniejszych pojęć o sztuce i jej stosunku do ludzkiej duszy [...] Chmielowski będąc słabym rysownikiem, posiadał nadzwyczajny talent kolorystyczny i matematycznie wierne poczucie tonu; w tych więc zasadniczych kwestiach nowoczesnego ruchu artystycznego zdanie jego było rozstrzygającym, a rada udzielana kolegom bezwzględnie słuszną i skuteczną. Na tych też podstawach głębokiego umysłu i wielkiego artyzmu opierała się jego powaga i znaczenie, nie na zewnętrznych oznakach powodzenia, którego nie miał, gdyż nigdy nie był *verkäuflich*” [sprzedający się].

On sam, typ introwertyka – u którego świat wewnętrzny odgrywał olbrzymią rolę – miał dość ambiwalentne mniemanie o samej sztuce: „Czy sztuce służąc Bogu też służyć można? Chrystus mówi, dwóm panom służyć nie można. Choć sztuka nie mamona, ale też nie Bóg, bożyszczce prędeż. Ja myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo, chyba by jak Fra Angelico sztukę i talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować, ale by trzeba na to, jak tamten, siebie oczyścić i uświęcić i do klasztoru wstąpić, bo na świecie

tak bardzo trudno o natchnienie do takich szczytnych tematów” (List do Lucjana Siemińskiego, Reichenhall, lato 1873). „Jeżeli w dziełach [sztuki] kłaniam się sobie ... to, choć to nazywa się zwykle kultem dla sztuki, w istocie rzeczy jest tylko egoizmem zamaskowanym; ubóstwić samego siebie – to przecież najgłupszy i najpodlejszy gatunek bałwochwalstwa” – pisał do Heleny Modrzejewskiej (List do Heleny Modrzejewskiej, Stara Wieś październik 1888).

Brat Albert dostrzegł w
twarzach nędzarzy i
bezdolnych sponiewierane
oblicze Chrystusa. Zamieszkał
w ogrzewalni dla biedoty, aby
pomagać jej w dźwiganiu się z
nędzy materialnej i moralnej

Nigdy nie był
oryginałem, ale
zawsze był sobą.
Wszystkiemu, czego
się dotykał, nadawał
swoją charakter. W
sztuce dopatrywał
się cech boskiego
objawienia, a w
powołaniu malarza –

specjalnego posłannictwa, będącego łaską Bożą. „Sztuka nie jest naśladownictwem, ale tłumaczeniem natury i jej najwyższą misją, jest objawiać piękno, którego natura posiada zarodki, rozjaśniać pomieszczone, upraszczając to, co zawile w niej [...] Styl właśnie, jest to szczerłość, przyrodzony głos duszy, jej kształt, jej język; maniera to przedrzeźnianie stylu, to głos i język papugi, kalectwo kształtu [...] Istotą sztuki jest dusza wyrażająca się w stylu” (Ateneum, t. II, Warszawa 1876, 428-431). Nigdy nie był zręczny jako malarz, forma przychodziła mu z trudem, ale kolor z łatwością (por. A. Piotrowski, *Ze wspomnień o Adamie Chmielowskim*, Nowa Reforma 1917, nr. 5, s. 3). Świadom był też zagrożenia, jakie niesie ze sobą bezgraniczne oddanie się sztuce, na skutek czego „gubi się w szalonej gonitwie rodzinę, moralność, ojczyznę, związek z Bogiem, gubi wszystko, co dodatnie i

święte” (Stara Wieś, październik 1880). Nigdy nie była zadowolony z tego, co robił i nieraz niszczył swoje własne dzieło. Gdyby tylko chciał, zostałby wielkim malarzem – mówiono o nim (M. Witkiewiczówna, *Adam Chmielowski /Brat Albert/* Kraków 1933, ss. 3-6).

Po ogłoszeniu amnestii w 1874 roku powrócił do kraju i zaczął poszukiwać nowego ideału życia. Jego malarstwo – oparte do tej pory na motywach świeckich – zaczęło odtąd czerpać natchnienie z tematów religijnych. Najlepszym przykładem tego jest obraz *Ecce Homo*, owoc głębokiego przeżycia tajemnicy bezgranicznej miłości Boga do człowieka.

Służba ubogim

W roku 1880 w jego życiu nastąpił zwrot duchowy; od kategorii piękna przeszedł on do kategorii dobra. Będąc w pełni sił twórczych porzucił malarstwo oraz liczne kontakty towarzyskie i – w wieku 35 lat – wstąpił do nowicjatu jezuitów w Starej Wsi z zamiarem zostania bratem zakonnym. Pół roku później – w stanie silnej depresji – musiał opuścić nowicjat i – do stycznia 1882 roku – leczył się w zakładzie dla nerwowo chorych w Kulparkowie koło Lwowa. Potem przebywał u swego brata na Podolu, gdzie wrócił do psychicznej równowagi.

Następnie zafascynowała go duchowość świętego Franciszka z Asyżu. Zapoznał się z regułą III zakonu i rozpoczął działalność tercjarską. W 1884 roku przeniósł się do Krakowa i zatrzymał przy klasztorze kapucynów. Odtąd zaczął zajmować się nędzarnymi i bezdomnymi, dostrzegając w ich twarzach sponiewierane oblicze Chrystusa. Objął

zarząd ogrzewalni dla bezdomnych i przeniósł się tam na stałe, aby – mieszkając pośród biedoty – pomagać jej w dźwiganiu się z nędzy materialnej i moralnej.

25 sierpnia 1887 roku przywdział szary habit tercjarski i przyjął imię Albert. Dokładnie rok później – na ręce kard. Albina Dunajewskiego – złożył śluby tercjarza. Ten dzień stał się też początkiem Zgromadzenia Braci III Zakonu św. Franciszka Posługujących Ubogim, zwanego popularnie „albertynami”.

Niemający wpływ na duchowość Brata Alberta miał – pochodzący z Wielkopolski – ks. Czesław Lewandowski ze Zgromadzenia Księżych Misjonarzy. Już w Lwowie był on ojcem duchownym księcia metropolity Adama Sapiehy, a potem tę samą rolę spełniał w Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie. Prawdopodobnie już w 1901 roku Brat Albert nawiązał z nim kontakt, szukając u księdza Czesława rady w sprawach własnego sumienia i w sprawach zgromadzenia. Ks. Lewandowski radził też albertynce, Siostrze Bernardynie Jabłońskiej, w sprawach albertynek i prawdopodobnie bez jego opieki nie przezwyciężyłaby ona trudności, jakie towarzyszyły jej w początkach drogi zakonnej. Po śmierci Brata Alberta albertynki znalazły oparcie właśnie w osobie księdza Lewandowskiego. On też bronił radykalnego ubóstwa i przyczynił się do zredagowania konstytucji albertynów i albertynek. Zmarł w opinii świętości.

Brat Albert przejął od zarządu miasta opiekę nad ogrzewalnią dla mężczyzn przy ulicy Piekarskiej w Krakowie. W niecały rok później wziął też w opiekę ogrzewalnię dla kobiet, a grupa jego pomocnic – którymi kierowała siostra Bernardyna Jabłońska – stała się załącznikiem

„albertynek”. Przytuliska albertynów i albertynek zostały otwarte dla wszystkich potrzebujących, bez względu na narodowość czy wyznanie. Bezdomnym zapewniano tam pomoc materialną i moralną, chętnym stwarzano możliwość pracy i samodzielnego zdobywania środków utrzymania.

Pomimo wykonywanych przez niego wielu szlachetnych dzieł, przeciwko Bratu Albertowi wytaczano najcięższe oskarżenia, „że jego przytuliska przeistoczyły się w stałą siedzibę dla próżniaków, że więcej szkody przynoszą społeczeństwu aniżeli pożytku, popieraniem próżniactwa i pośrednio innym występkom i narowom, które w ślad za nim idą. Na te ciężkie i krzywdzące zarzuty odpowiadał Brat Albert głównie czynami miłosierdzia, ale jego słowa odpowiedzi były jak młot druzgocący owe napaści. ‘W społeczeństwie naszym nie jest jeszcze dostatecznie uznaną prawdą, że są potrzeby, których ogół nie ma prawa odmawiać jednostkom, a takimi potrzebami są: chleb i dach nad głową’ ” (Lewandowski, 291).

Formację kandydatów i kandydatek do zgromadzenia albertynów i albertynek organizował w pustelniach, z których najbardziej znaną stała się samotnia na Kalatówkach. Nowicjat był bardzo surowy, aby zawczasu eliminować ze zgromadzenia osoby słabsze, bo „sam musi dobrze pływać, kto chce ratować tonącego”. Do tej wyjątkowo trudnej pracy istotnie trzeba było ludzi wyjątkowo zahartowanych tak pod względem fizycznym, jak i moralnym. „Każde zgromadzenie zakonne polega na ścisłym zachowaniu rad ewangelicznych ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, który więc brat jest w zakonie, a tego zachować nie chce, to trzeba go natychmiast wydalić jako zarazę i niszczyciela” (List do brata Bernarda Kowala, Kraków 1915).

Przykładem swego życia uczył albertynów i albertynki, zalecając im przestrzeganie radykalnego ubóstwa. Temat ten pogłębił w interesujący sposób ks. biskup Ryś w swojej książce „Brat Albert. Inspiracje”. „Wy tylko dlatego istniejecie, ponieważ istnieją ubodzy, gdyby nie było ubogich, to by i was nie było potrzeba” – mówił do nich (Michalski, 58). „Służąc ubogim, trzeba być samemu ubogim, aby tej służby nie porzucić” (brat Piotr, 59). Jeśli chwila obecna ma przygotować nasze serce na wieczność, to nie mogę jej wiązać z żadną wartością doczesną, aby w godzinie jej utraty nie podzielić jej losu. Moje serce musi być wolne. Rzadko spotyka się kogoś, kto zrozumiał to lepiej niż św. Albert Chmielowski. Pewnego razu kazał uszyć siostron ciepłe ubrania, aby się nie przeziębiły. Siostry kupiły flanelę. Gdy Brat Albert to zobaczył, zląkł się. To takie pańskie ubranie, gdy tymczasem św. Klara mówiła, że ubranie ma być podłe i podły kolor. Barchan a nie flanela (por. s. Serafina). Zapewne także dlatego ktoś w ten sposób żartobliwie streścił regułę albertynów: „nisko siadać, mało jadać, wiele robić, mało gadać” (Michalski, 68).

Mimo swego kalectwa brat Albert wiele podróżował, zakładając nowe przytuliska, sierocińce dla dzieci i młodzieży, domy dla starców i nieuleczalnie chorych oraz kuchnie ludowe. Za jego życia powstało 21 takich domów, gdzie potrzebujący otaczani byli opieką braci i sióstr. A przy tym wszystkim pozostawał on zawsze „artystą i miał ten rzadki u artystów nawet przymiot; miał bardzo wybitny i bardzo charakterystyczny swój styl. Styl w mówieniu, w przedstawianiu rzeczy, w krytykowaniu tego, co mu się nie podobało, w chwaleniu tego, co lubi.[...] Był zawsze sobą” (Szeptycki,7).

Zmarł w opinii świętości – wyniszczony ciężką chorobą i trudami życia w przytułku dla mężczyzn – w Krakowie dnia 25 grudnia 1916 roku. Pogrzeb na Cmentarzu Rakowickim był hołdem dla człowieka heroiczych cnót, otoczonego powszechną czią polskiego społeczeństwa, które zachwyciło się jego wyznaniem:

„Nic na równi z Bogiem.

Nic nad Boga.

Nic prócz Boga.

Nic równocześnie z Bogiem.

Jeden Bóg jednej duszy.

Wszystko – Wszystkiemu.

Serce Sercu.

Boże mój – cóż jest na Niebie lub na ziemi godnego miłości wobec Ciebie?”

(Z listu Brata Alberta do s. Izydory Wicher).

Na ołtarze

Karol Wojtyła, był zafascynowany postacią brata Alberta, który porzucił sztukę, aby służyć Bogu. Poświęcił jego postaci dramat „Brat naszego Boga”.

Już jako papież beatyfikował brata Alberta dnia 22.06.1983 na Błoniach Krakowskich, a kanonizował dnia 12 listopada 1989 roku w Watykanie. Mówił wtedy: „Świętość bowiem polega na miłości. Opiera się na

przykazaniu miłości. Mówi Chrystus: „To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowałem” (J 15, 12). [...]

Miłość jest pierwszą i odwieczną treścią przykazania, które pochodzi od Ojca. Chrystus mówi, że On sam „zachowuje” to przykazanie. On też daje nam to przykazanie, w którym zawiera się cała istotna treść naszego podobieństwa do Boga w Chrystusie” (Jan Paweł II, Homilia w czasie Mszy św. beatyfikacyjnej Brata Alberta – Adama Chmielowskiego, Błonia Krakowskie, 22.06.1983).

Brat Albert osiągnął w swoim życiu szczyty świętości na drodze miłości. Nie ma innej drogi, która do tych szczytów prowadzi.

Nasze życie

Św. Albert zwykł mawiać: „Powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs ukroić, nakarmić się, jeżeli jest głodny”. Ten głód ma dzisiaj różne nazwy, lecz najbardziej niebezpiecznym jest głód, który pozostaje nienazwany. Obserwując to, co nas otacza, zdaje się, że tego rodzaju niebezpieczny głód wdziera się dziś w polską kulturę, w systemy wychowania i komunikacji, wskutek czego – niemal bezboleśnie – zatracamy własną tożsamość kulturową i ludzką godność.

Aby to przezwyciężyć, konieczny jest oddolny solidaryzm społeczny, a więc taka dobroczynność, która rodzi się poza instytucjami, jest spontaniczna i wyczulona na to, co w danym momencie się dzieje, na tego, kto naprawdę potrzebuje pomocy. Tego rodzaju solidaryzm jest

najpiękniejszy. Dlatego zamiast utyskiwać na zło, skupmy się na czynieniu dobra. „Zło dobrem zwyciężaj”. Tylko wtedy bowiem odrodzimy się jako społeczeństwo.

W świetle wiary taki solidaryzm zmierza do przekroczenia samego siebie, do nabrania specyficznie chrześcijańskich wymiarów całkowitej bezinteresowności, przebaczenia i pojednania. Wówczas bliźni stanie się dla nas nie tylko istotą ludzką z jej prawami i podstawową równością wobec wszystkich, ale stanie się żywym obrazem Boga Ojca, odkupionym krwią Jezusa Chrystusa i poddanym stałemu działaniu Ducha Świętego. Winien być więc kochany – nawet jeśli jest wrogiem – tą samą miłością, jaką miłuje go Bóg. Trzeba być gotowym do poniesienia dla niego nawet najwyższej ofiary (1J 3,16) (por. Kompendium Katolickiej nauki Społecznej, 196).

Na koniec módlmy się: Boże, bogaty w miłosierdzie, który natchnąłeś świętego Brata Alberta, aby dostrzegł w najbardziej ubogich i opuszczonych znieważone oblicze Twojego Syna, spraw łaskawie, abyśmy spełniając za jego przykładem dzieła miłosierdzia, umieli być braćmi wszystkich potrzebujących.

Abp Stanisław Gądecki

Homilia wygłoszona 10 czerwca 2017 roku w Krakowie-Łagiewnikach podczas mszy świętej sprawowanej w ramach obchodów 100-lecia śmierci Brata Alberta Chmielowskiego